



MIASTO
GWIEZDNEGO
PYŁU

A decorative archway with a lantern hanging from its top. Inside the arch, there are silhouettes of city buildings. The arch is surrounded by ornate floral and leaf patterns.

Georgia
Summers

MIASTO
GWIEZDNEGO
PYŁU

przełożyła
EWA
BOBOCIŃSKA



Tytuł oryginału: *The City of Stardust*

Copyright © Georgia Summers 2024

Projekt okładki: Micaelo Alcaino

Adaptacja okładki i stron tytułowych: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Copyright © for the translation by Ewa Bobocińska

Redakcja: Ida Świerkocka

Korekta: Renata Kuk, Magdalena Magiera

Skład i łamanie: Robert Majcher

Copyright for the Polish edition © 2024 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-367-9

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2024

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

twitter.com/WydJaguar

Druk i oprawa: ABEDIK

Wydrukowano na papierze Creamy 70, dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

Mojej mamie

Zrobiła krok naprzód, w zamyśleniu, nie zdradzając emocji. Uniosła stopę, wyżej, jeszcze wyżej – i nagle wzbiła się w górę, piękna, na jaskółczych skrzydłach, i to był najcudowniejszy widok w ten rozgwieżdżony wieczór. Bo cóż bardziej naturalnego niż lot dla tych istot obdarzonych szczególną fantazją? A my, zwyczajni śmiertelnicy, mogliśmy tylko żałować, że nie jesteśmy w stanie do niej dołączyć.

– Hyacinth Watson,
The Fairy Knight's Daughter & Other Stories

Non est ad astra mollis e terris via.

Nie ma łatwej drogi z ziemi do gwiazd.

– Seneka Młodszy, *Hercules Furens*

Prolog



Paryżu znika dziecko.

Niemowlę, żeby być precyzyjnym. W jednej chwili chłopczyk zaciska pulchne piąstki w wózekczku, który matka toczy po sklepie spożywczym. Tylko na moment – dosłownie na sekundę, jak potem zapewnia – odwraca wzrok, aby sprawdzić listę zakupów, bo wydaje jej się, że o czymś zapomniała, a nie może sobie przypomnieć o czym. A w następnej chwili dziecko znika, uniesione przez czyjeś stanowcze, pewne dłonie. Kiedy matka ponownie zwraca spojrzenie na miękkie pośłanie, na którym powinno leżeć niemowlę, po sprawcy nie ma już śladu. W ułamku sekundy, który dzieli moment odkrycia zniknięcia chłopczyka od krzyku wyrrywającego jej się z gardła, dociera do niej niezwykle zapach wanilii w powietrzu.

Dziewczynka z Wiednia ma dwa latka i po raz pierwszy w życiu odwiedza galerię obrazów. Uspokaja ją kołysanka, która brzmi jak wspomnienie z życia płodowego – jak piosenka, której nigdy nie słyszała, a jednak słuchała jej przez całe życie. Gdy rodzice zatrzymują się, żeby podziwiać jakiś obraz, dziewczynka przemyka wśród tłumu turystów, wpada w wyciągnięte ramiona i znika na zawsze. Są telefony na policję, potem zarzuty i proces sądowy. Detektywi pracowicie oglądają nagrania z kamer bezpieczeństwa, okazuje się jednak, że zapis został nieodwracalnie uszkodzony. Ktoś wspomina o kobiecie pachnącej wanilią, ale ten szczegół zostaje zignorowany i dziecko uznaje się za zaginione.

W Pradze jest chłopiec o oczach szarych jak morskie szkło. Mamroczę coś przez sen, jedno z wielu dzieci z sierocińca. Kobieta pachnąca

wanilią podchodzi do niego, ma wyrachowane spojrzenie i pewne ręce, nie odczuwa wyrzutów sumienia z powodu zbrodni, którą zaraz popełni. Potrafi przewidzieć, jak wyglądałoby życie tego dziecka bez jej interwencji: nieciekawe, pozbawione miłości, może nawet traumatyczne. Życie bez bohaterów, bez ratunku w ostatniej chwili. Bez bajkowych rodziców, którzy zabiorą go – swojego księcia, który został przez pomyłkę uznany za żebraka – z powrotem do domu. W Pradze ten chłopiec będzie żył nikim i umrze nikim.

Ale tam, dokąd pójdzie ona, chłopiec będzie kimś więcej, niż ktokolwiek mógłby przypuścić.

Pochyla się nad jego łóżeczkiem i szepcze:

– Słyszę twój śpiew, mały marzycielu. I przychodzę na wezwanie.

* * *

Marianna Everly wychodzi podczas burzy z piorunami.

Ta noc zapowiada się katastrofalnie: ulewny deszcz, który siecze o szyby w oknach, jakby sam dom popełnił zbrodnię; sine chmury rozbłyskują białą furią; w złowieszczych kałużach kryją się zdradzieckie zagłębenia. Byłoby lepiej, myśli Marianna, gdyby zaczekała do rana, gdyby miała za sobą słońce i dobrą wolę. Ale nie może zignorować melodii bębniącej w jej kościach ani szeptu mówiącego, że już czas, by pożegnała swój rozpadający się dom i jego mieszkańców.

W drzwiach mającą sylwetki jej braci, trudno odczytać wyraz ich twarzy. Poczucie winy, żal, złość – pełen wachlarz tego typu uczuć mają za sobą, pozostała tylko niewzruszona pewność, że teraz już nie ma odwrotu.

Jeśli nie liczyć domu, to Marianna bardzo niewiele za sobą zostawia. Książeczkę z bajkami w jedwabnej okładce, z postrzępionymi brzegami kartek. Parę lśniących bransoletek o niespotykanym połysku. Stary i bezużyteczny miecz o stępionym ostrzu, przekazywany od wieków z jednego stęchłego przodka na drugiego.

Także na córkę, jeśli chodzi o ścisłość.

W pograżonym w mroku domu pali się tylko światło w oknie jej córki, choć mała szybko zasnęła, kiedy Marianna złożyła na jej czole pożegnalny pocałunek.

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

Marianna zatrzymuje się na moment. Rozświetlone okno przyciąga jej spojrzenie. Być może się waha, ponieważ pomimo wszystkiego, co doprowadziło do tej chwili, zew dziecka jest niemal silniejszy od jakiegokolwiek innego wezwania.

A może jednak nie? Może odrzuca brzemię macierzyństwa z ulgą, pozbywa się ciężaru, którego nie chciała na siebie wziąć?

Trudno powiedzieć, gdy tak stoi w deszczu.

Ciemność zamyka się wokół niej. Marianna Everly zdejmuje z szyi podniszczony klucz, przekręca go w powietrzu – i znika.

* * *

Klątwa może mieć rozmaite oblicza. Może być życzeniem pozostawionym na słońcu, by się zepsuło, by zgniło i sflaczało, obróciło się w zwapniałą żądzę i utlenioną zawiść. Albo zatrutym kielichem, błędem wytautowanym na całym drzewie genealogicznym rodziny, którego wszystkie kolejne pokolenia obiecywały, przysięgały nie wziąć ani jednego łyku, dopóki ktoś się nie złamał. Czasami są to zmowa i pech, spiskujące ze sobą jak starzy oszuści szukający łatwego zarobku.

U Everlych wszystko zaczyna się od gwiezdneho pyłu.

CZEŚĆ
PIERWSZA



Pierwszy



to jak po latach będzie pamiętał ten dzień Ambrose Everly. Nie zapamięta deszczu spływającego po szybach, wciskającego się w każdą szparę i wypełniającego domostwo Everlych łagodnym pluskiem wody, kapiącej do wszelkich przypominających miskę przedmiotów. Nie zapamięta też białego światła błyskawicy, która doprowadziła do zwarcia i zmusiła go do grzebania w kredensie w poszukiwaniu świec i zapalek. Zapamięta trudny do zniesienia bezruch, jakby cały dom wstrzymał oddech w oczekiwaniu.

Dlatego Ambrose odczuwa niemal ulgę, gdy ktoś łomocze do drzwi, jakby uderzył piorun, choć trwa to bardzo krótko. To z pewnością nic innego jak zwykły zbieg okoliczności, ale i tak ze ściśniętym sercem przemierza długie, ciemne korytarze, mijając portrety przodków, które spoglądają na niego z posępną obojętnością. Bardzo niewiele osób wie, że ten dom w ogóle tutaj jest, a jeszcze mniej czuje się tu na tyle mile widzianym, aby zapukać do drzwi. Ambrose otwiera, niepewnie.

W pierwszej chwili widzi jedynie mrok i strugi deszczu lejącego się z dachu. Potem błyskawica rozświetla na moment świat. W progu stoi mężczyzna w skórzanej kurtce, kompletnie przemoczony. Okulary przeciwsłoneczne ukrywają jego spojrzenie, mimo że na dworze jest ciemno choć oko wykol. Za jego plecami, na podjeździe stoi jaskrawopomarańczowy sportowy samochód, smukły i drapieżny.

- Zmieniłeś zamki – stwierdza mężczyzna.
- Gabriel? – pyta Ambrose, a potem znowu, bo nie może uwierzyć, że stojący przed nim mężczyzna to nie zjawia.

– Musimy porozmawiać, braciszku – mówi Gabriel ponuro.

Ambrose ani drgnie. Bierze głęboki wdech i stara się zrozumieć to, co właśnie się dzieje. To powinno być niemożliwe. Czuje, że to niemożliwe. Ale jego starszy brat rzeczywiście stoi na podwórzu, jakby nigdy stąd nie wyjeżdżał, mimo że minęły już przeszło dwa lata. Tylko samochód jest inny, choć nosi wszelkie znamiona gustu brata: jest ostentacyjny, głośny i niewiarygodnie paskudny. Jak środkowy palec pokazany całemu światu.

– Co ty tutaj robisz? – pyta Ambrose.

Gabriel odsuwa włosy z czoła i zerka ponad nim w otwarte drzwi, jakby spodziewał się, że coś – albo ktoś – się tam pojawi.

– Powinniśmy rozmawiać w środku.

Ambrose’a ogarnia nagły niepokój.

– Myślisz, że ktoś za tobą jechał?

– Nie, byłem ostrożny. Ale jednak.

– A czy powinieneś w ogóle tutaj przyjeżdżać? – To w założeniu nie miało brzmieć oskarżycielsko, ale Ambrose krzywi się, słysząc w swoim głosie ostrą nutkę.

– To ważne – odpowiada Gabriel.

Niewiele powodów mogło go skłonić do podjęcia ryzyka przyjazdu do domu, a wszystkie były niepokojące. Wnętrznosci Ambrose’a znowu skrecają się ze zdenerwowania.

– Okej – ustępuje.

Gdy Gabriel przekracza próg, dom wydaje powitalne westchnienie – zbłąkany Everly w końcu powrócił. Ambrose prowadzi brata korytarzem, mijają rozliczne pęknięcia, wypłowiałe tapety i pokłady kurzu pokrywającego nieużywane meble. W opinii Ambrose’a dom wygląda dokładnie tak samo jak w ich dzieciństwie, no, może jest trochę bardziej zaniedbany, bardziej spragniony miłości. Ale teraz, gdy Gabriel przesuwając krytycznym spojrzeniem po pokojach, nagle robi mu się wstyd, że zawiódł jako pan domu i nie dokonał tych wszystkich napraw, na które nigdy nie wystarczało mu czasu. Potem ogarnia go irytacja; a kogo obchodzi, jak ten dom wygląda? Przecież brata nigdy tu nie ma, nigdy mu w niczym nie pomaga.

W ciemności Gabriel potyka się o coś i klnie. Ambrose podnosi z podłogi jedną z lalek siostrzenicy, wystrojoną w zbroję z folii aluminiowej, z mieczem z mieszadłem do koktajli. Uśmiecha się z czułością. Zabawki

są porozrzucane po całym domu i choć Violet twierdzi, że jest już za duża, żeby się nimi bawić, to on ciągle znajduje je w niespodziewanych konfiguracjach. Czarodziejki w zbrojach, rycerze z różami w rękach, księżniczki unoszące triumfalnie miecz.

– To należy do dziecka? – pyta Gabriel.

Ambrose wygładza zgniecioną zbroję.

– To należy do Violet, tak.

Gabriel obrzuca zabawkę przeciągłym, twardym spojrzeniem. Ale nic nie mówi.

Jedynym miejscem, w którym nadal działa oświetlenie, jest biblioteka, bo w kinkietach na ścianach są jeszcze zainstalowane oryginalne lampy naftowe. Ambrose zapala je wszystkie ostatnimi zapałkami, podczas gdy Gabriel bawi się leżącym na biurku notesem. Ciepłe światło rozjaśnia pokój, migocze w złożonych grzbietach książek.

Ambrose opiera się o starą szafę na samym końcu biblioteki i stara się powstrzymać pytania, które cisną mu się na usta. Nigdy nie byli szczególnie wylewni w okazywaniu sobie uczuć, więc trzyma się z dala od brata i chowa ręce do kieszeni. Minęły już dwa długie lata od dnia, w którym Gabriel opuścił dom, i choć zgodzili się, że tak będzie najlepiej – aczkolwiek nigdy właściwie nie było dyskusji o tym, który z braci ma odejść, a który pozostać – to Ambrose nie może powstrzymać ukłucia żalu. Ma za sobą dwa lata robienia zbroi z folii aluminiowej, ale również uczenia się bycia rodzicem w najgorszym możliwym momencie, dwa lata dzikich awantur o porę kładzenia się spać i jedzenia posiłków, dwa lata zmagania, by wbić siostrzenicy do głowy coś na kształt nauki, podczas gdy jego własne studia poszły w zapomnienie – a Gabriel nie musiał tego znosić. Ale Gabriel miał lukratywną pracę, dzięki której mógł utrzymać dom, a nie do połowy napisany doktorat i niejasne ambicje pracy naukowej. A tylko jeden z nich musiał zostać.

Gabriel pochwytytuje jego spojrzenie.

– To dziecko... Violet. Gdzie ona jest?

– Śpi – odpowiada Ambrose, mimo że nie ma pojęcia, gdzie jest siostrzenica. Violet myśli pewnie, że wuj nie zauważył, jak wymyka się nocą z łóżka, choć dom wyśpiewuje wtedy całą symfonię trzasków.

– Czego chcesz, Gabrielu?

Cisza. Gabriel spogląda na ciemność za oknem i zaciąga załony, zetały materiał strzępi się na brzegach. I znowu powraca poczucie, że coś strasznego czai się w pobliżu. Ambrose zaczyna chodzić po pokoju, próbując pozbyć się niepokoju.

– Słuchaj, robiłem wszystko, co w mojej mocy – mówi. – Ona jest szczęśliwa, jest najedzona, jest bezpieczna...

– I tu się mylisz, braciszku.

Ambrose zatrzymuje się.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Violet nie jest już tajemnicą. Nie wiem, co Marianna zrobiła, z kim rozmawiała, ale nie zachowała ostrożności.

Imię siostry spada pomiędzy nich jak kamień. Ambrose czuje w uszach walenie pulsu. Strach ściska mu wnętrzności.

– Jesteś pewien? – szepcze, a Gabriel kiwa głową. – Cholera.

Cholera.

Co tu więcej można powiedzieć? Przez lata obawiał się najgorszego obrotu spraw i oto stało się. *Violet nie jest już tajemnicą*. Oczami duszy widzi, jak cień pada na jego żywiółową, małą siostrzenicę, i nagle robi mu się słabo z przerażenia.

– Jesteś pewien, że to nie twoja sprawka? – pyta podejrzliwie Ambrose. – Musiałeś coś chlapnąć podczas swoich podróży, wyprawiając Bóg wie co...

Gabriel przerywa młodszemu bratu.

– Jeśli sądzisz, że mógłbym choć przez moment zaryzykować bezpieczeństwo dzieciaka...

– Gdyby ci zależało, to już dawno położyłbyś kres tej farsie z uczonymi!

Z góry dobiega grzmot, a bracia nie przestają mierzyć się wzrokiem. Ambrose ze zdenerwowaniem przesuwając ręką po włosach, jego pierś unosi się ciężko pod wpływem wzbierającej złości. Próbuje wziąć kilka głębokich oddechów, ale czuje tylko panikę paralizującą jego myśli. Co, do licha, mają teraz zrobić?

– To jest również moja siostrzenica. Zależy mi – mówi twardo Gabriel. – Poza tym nie chodzi wyłącznie o pieniądze. Jak sądzisz, w jaki sposób dowiedziałem się o Mariannie? O Violet? – Unosi brew. – Ja nie jestem zbyt dumny, żeby robić to, co musi zostać zrobione. A ty?

Ambrose bierze kolejny głęboki wdech, tym razem idzie mu trochę łatwiej. Dla dobra Violet powinien wziąć się w garść. Powoli zaczyna rozważać rozmaite możliwości, metodycznie, z logiką, spychając panikę w najdalsze zakamarki mózgu.

– Moglibyśmy ją stąd odesłać – myśli głośno. – Żeby zniknęła z oczu. Ty masz kontakty, mógłbyś ją zabrać. – Choć nie chce nawet sobie tego wyobrazić.

– Na to już o wiele za późno – stwierdza Gabriel ponuro. – Powiedz mi, komu powierzyłyś Violet? Który z moich „kontaktów” zaryzykowałby dla nas swoje życie? – Unosi z drwiną brew. – Do licha, braciszku, czy zaufałyś mnie?

Ambrose milczy. Nie ma dobrej odpowiedzi na to pytanie.

– W najlepszym razie zyskalibyśmy kilka miesięcy, braciszku. A potrzebujemy znacznie więcej.

Znowu ten b r a c i s z e k. Już od dłuższego czasu Ambrose nie czuje się tak młody i naiwny, żeby zgadzał się na traktowanie z góry.

– Violet zasługuje na przyzwoite życie – mówi. – Marianna chciałaby...

– Marianna stąd spieprzyła i zostawiła swoje dziecko – warczy Gabriel. – I naprawdę nie obchodzi mnie, czego by chciała.

– Nie miała wyboru. Odeszła właśnie dla Violet. Wiesz o tym.

– Wiem? – Gabriel patrzy spode łba na brata. – Kiedy ktoś wygląda tak, jakby uciekał, to znaczy, że ucieka. I zostawia nas, żebyśmy posprząтали cały ten cholerny bałagan. Jak zwykle.

Ambrose przetyka ciętą ripostę. Dla Gabriela Marianna to żywa rana, paląca bólem przy każdym dotknięciu.

– Więc to oznacza... – Nie może się zmusić do wymówienia jej imienia, jakby wypowiedzenie go na głos mogło sprowadzić moce, przed którymi tak długo chronił Violet. – Kiedy ona się tutaj zjawi?

Gabriel potrząsa głową, zaciska usta w wąską linię.

– Raczej wcześniej niż później, jak sądzę.

Ambrose gorączkowo analizuje sytuację. Musi istnieć jakieś rozwiązanie, którego on na razie nie dostrzega. Ale jego myśli, zazwyczaj tak doskonale zorganizowane, chodzące jak w zegarku, tym razem zawodzą. W głowie mu się kręci od rozważań o Violet, o długim, mrocznym cieniu

wiszącym nad rodem Everlych. Potrzebuje więcej czasu do zastanowienia. Potrzebuje po prostu czasu.

– Zaprośmy ją – odzywa się nagle. – Zawrzemy umowę. Powiedzialesz, że potrzebujemy więcej czasu. Więc... kupimy sobie czas. Na kolejne posunięcia, na jakiś plan. Na cokolwiek.

Dla Marianny, dodaje w myślach.

Czeka, by Gabriel storpedował jego pomysł. A tymczasem brat rozciera nadgarstek i powoli kiwa głową, rozważając jego propozycję.

– Ona zapyta o Mariannę – ostrzega.

– Wiem.

Gabriel poprawia skórzaną kurtkę, bawi się czymś w kieszeniach.

– Ja nie mogę zostać, już jestem spóźniony na spotkanie z Verne'ami. Będziesz musiał mówić za nas obu.

– To również wiem.

Po wyjściu Gabriela Ambrose przysiadła na biurku, przytłoczony nagle potwornością zadania, którego się podjął. Nie mówiąc już o tym, co, do licha, ma powiedzieć swojej dociekliwej siostrzenicy. Która nieustannie zadaje pytania, choć on już od dawna nie ma łatwych odpowiedzi.

Pozostaje na nogach do wczesnych godzin porannych, pisze listy, szoruje zakurzone blaty kuchenne, pierze prześcieradła, nagle znajduje czas na to wszystko – byle nie myśleć o tym, co teraz nastąpi.

Wewnątrz starej szafy na samym końcu biblioteki Violet Everly mocno przyciska do siebie książkę i zakrywa usta, żeby nie było słyhać jej przeżalonego oddechu.